No. 2. [1870]

RZEMIEŚLNIK POLSKI.



KOWAL WIEJSKI, CZYLI ŁASKA I PRZEBACZENIE.

KOWAL WIEJSKI

CZYLI

ŁASKA I PRZEBACZENIE.

Widzisz, kochany czytelniku, przed sobą kowala wiejskiego, któremu w zdolności mało kto w kraju zrównał. Nie tylko bowiem nikt na całą okolicę tak zręcznie okuć nie potrafił konia, lub bryczki, a nawet powozu sporządzić, ale znał on i ślusarską robotę, czego świadkiem doskonałe zamki jego i kłódki, które nie ustępowały w dobroci angielskim. Nadto, jak wielu tego rzemiosła ludzi, trudnił się weterynaryą, szczęśliwie w rożnych przypadłościach leczył bydło i konie, i zawsze prawie zdrową wiedział radę dla osłabionego zwierzęcia. W potrzebie pomógł i człowiekowi, puszczał krew w razie apoplexyi, kiedy życie zależało od natychmiastowego ratunku; wstawić potrafił nogę złamaną lub rękę, wyrwać nareszcie ząb i oswobodzić od cierpienia, które nie będąc chorobą, jest jednak dolegliwym bardzo bólem.

Ale z tém wszystkiém nasz Wojciech Wierczyński szkaradny miał nałóg kłócenia się z całym światem; był to istny zawadyak, mieszał się nie raz do spraw, które bynajmniéj do niego nie należały—nie tylko sam się kłócił, ale innych wadził, podbudzał do procesów, których sam już wiele przegrał, kilka razy siedzieć musiał w areszcie po kilka dni, często gęsto płacił kary, co kieszeń jego nie raz porządnie uczuła. Ale więcéj niż kieszeń, bo ta nic nie mówiła, martwiło to poczciwą żonę jego Joannę, która mu zawsze nadaremno przedstawiała, żeby licznéj dziatwie lepszy dawał przykład, jak kłócąc się z wszystkimi. Płakała nieboraczka nie raz i wzdychała do Boga o poprawę dla męża; napróżno go prosiła, żeby raczéj wieczorami po skończonéj robocie z nią w domu pozostał, mówiąc: "Posiedź lepiéj, Wojtusiu, u nas, każ sobie tu przynieść butelkę piwa i posłuchaj trochę dzieci czytania, bo ja mam tak wiele zajęcia, nie mam czasu ni głowy do tego; jest co szyć, prać i cerować, jest co myśleć o gospodarstwie i o czeladce. Żebyś poczytał kiedy z dziećmi a przejrzał pisanie, toby się więcéj starały, i nie wadziłbyś się zawsze z sąsiadami; wszak to nasza istna szkoda, bo oni rozgniewani na ciebie, zamiast do naszéj kuźni, idą do drugiéj wsi z robotą. Jak ty wychodzisz, to się i czeladź rozchodzi; zostań więc ze mną, Wojtusiu, czyśmy ci już ani ja ani dzieci tak nie miłe, że koniecznie za domem musisz szukać rozrywki w nowych sprzeczkach?"

"Kto ci powiedział, Joasiu," odparł na to kowal, "żeś mi nie miła, albo że dzieci nie lubię? czy nie pracuję na was, czy ci nie oddaję pieniędzy rzetelnie, jak zarobię; czy nie lubię jak sobie sprawisz nową suknią albo czépek, żeby ci sąsiadki zazdrościły?"

"Co mi tam po téj zazdrości," smutnie odrzekła żona, "ja strojów nie pragnę, wolę mieć mniéj, aby tylko ludzie dobrze o tobie mówili i nie użalali się na twoją swarliwość."

"Cicho, Joasiu! przecież się z tobą nie kłócę mój dobry gołąbku!"

"Nie kłócisz się, Wojtusiu, ale się téż i nie modlisz ze mną, jak inni ojcowie i mężowie, a wiesz że ja słabo czytam, jakem poszła za ciebie, dostałam od kochanéj pani mojéj Biblią, wtenczas dobrze jeszcze umiałam czytać, ale przybywszy tu, musiałam się zająć robotą po uszy koło gospodarstwa; dał nam téż Pan Bóg dziatek kilkoro, trzeba je obszyć i oprać, trzeba o nich i o tobie pamiętać, żebyście mieli na czas jeść. Ledwo w niedziele mam czas zajrzeć do mojéj Biblii i poczytać trochę, ale tak jakoś mi słabo teraz idzie i trudno, że chyba nie długo sama będę musiała chodzić do szkoły, żeby się bieglé nauczyć czytać. Wiesz co, Wojtusiu mój drogi, mówisz, że radbyś, żeby mi sąsiadki zazdrościły ubrania ładnego; ach! ale nie one mnie, tylko ja im zazdroszczę, nie ubrania i dobytku, ale czegoś lepszego. Wczoraj jakeś znowu był na swojém piwku, pokończywszy robotę, poszłam do staréj Janowéj, któréj jedyny syn chory na tyfus; okropna tam biéda, zaniosłam im więc trochę żywności, butelkę soku żurawinowego, starą koszulę i kaftanik z ciebie, bo nieborak leżał spocony, a nie było w co go przebrać. Wszak się, ojcze, nie gniewasz za to? oboje lubimy wspierać uboższych, to tak miło! Otóż, wracając koło Ludwików Grocholskich, widziałam jak stary ojciec głośno czytał z Biblii, a żona i dzieci siedziały w koło i także czytały na swoich książkach. Zapomnieli widać zamknąć okiennice, wyraźnie zatém widziałam ich, zajęło mnie to mocno, przystanęłam i choć na prawdę słyszeć nie mogłam, boć pod oknem ogródki, w myśli jednak słuchałam. Potém zamknął książkę i wszyscy uklękli i zmówili modlitwę wieczorną i Ojcze nasz razem. Otóż, Wojtusiu, pozazdrościłam téj Ludwikowéj pobożnego męża i dziatkom ojca; byłabym na ulicy w błocie uklękła i modliła się z niemi, a wróciwszy do domu, płakałam gorąco, płakałam przy modlitwie, czemu ja nie mam pobożnego męża!"

"Cicho, Joasiu, nie płacz, poczekaj trochę, Ludwik Grocholski stary człowiek, może i ja się z czasem poprawię, przecież ci nie bronię modlić się za mnie, ja się téż czasem modlę, choć nie bardzo często—ale teraz znowu płaczesz, czego ja nie cierpię, więc do widzenia!"

Wziął czapkę z gwoździa i nic więcéj nie słuchając, odszedł na zwykłe swoje piwo do karczmy, gdzie najczęściéj przychodzi do sprzeczki. Westchnęła poczciwa Joanna przy pracy, obrządziła gospodarstwo, dzieciom dała kolacyą i kazawszy im iść na spoczynek, sama jeszcze przy świetle drobną szyła bieliznę dla maleńkiego gościa, który wkrótce miał powiększyć ich liczną już rodzinę. Wzdychała biedaczka, nie wiedząc iż groźniejsze nad niemi zawieszone nieszczęście. Na następném bowiem zebraniu w gminie o parę mil oddalonéj, Wojciech znów swoim zwyczajem rozpuścił niecny swój język; napróżno mu nakazywano milczenie, wszystko jakby groch o ścianę—kowal krzyczał tém głośniéj i obelżywiéj, aż mu nareszcie wyjść kazano z izby sądowéj, zkąd zaledwo udało się go wyprowadzić. Zawstydzony jednak i rozgniewany, czekał końca przed domem, ponieważ straż ziemska nazad go nie wpuściła; czekał i zżymał się, gdy w tém wychodzi sędzia pokoju, pan Mar....ski, zacny tych okolic obywatel, dziedzic licznych włości i od kilku lat sędzią pokoju mianowany. Wojciech na nowo rozpoczyna swoje obelgi, na które pan sędzia jakby nic zważał, tylko najspokojniéj, wsiadając na konia, rzekł do straży ziemskiéj, żeby na inny raz tego zawadyaka nie wpuszczała do zebrania. Kowal na to odpowiedział kamieniem wprost ku głowie sędziego wymierzonym, ale na szczęście ten ostatni to spostrzegł, miał czas schylić się i uniknąć uderzenia, które mogłoby mu kosztować życie i rodzinę jego pozbawić drogiego ojca. W szlachetności swojéj pan Mar....ski rad byłby wybaczył i ten niecny postępek, ale wobec stu blizko świadków zuchwalstwo podobne nie mogło ujść bezkarnie; na dobrą sprawę możnaby Wojciecha natychmiast okuć w kajdany i odesłać do więzienia powiatowego, gdzieby mógł czekać wyroku. Pan sędzia jednak, zawsze zacny i wspaniałomyślny, nie chcąc szukać zemsty osobistéj w ukaraniu przestępcy, uczynił to tylko, co koniecznie musiał w obliczu Boga i prawa: kazał natychmiast spisać protokół, a znając osobiście kowala i wiele jego dobrych stron, mianowicie gotowość w przyjściu w pomoc ubogim bliźnim, już to datkiem, już to zdrową radą lub pomocą bezpłatną,—dodał wiele uwag łagodzących. Kowal także, wytrzeźwiwszy się raptownie zaraz po niecnym uczynku, pokazywał szczery żal i zapewniał, że bynajmniéj nie miał zamiaru targnąć się na życie zacnego urzędnika, ale po prostu rozpalony miodkiem, po dobrém śniadaniu, porywczość jego wzięła górę nad rozumem. Sędzia, wiedząc iż nasz Wojciech był zresztą dobrym, troskliwym ojcem familii i rzetelnym człowiekiem, sam poręczył za nim aż do wypadku wyroku, który sprawa ta pociągnie. Możemy sobie wystawić, iż w nienajlepszym humorze wrócił kowal do domu; nie chciał on zaraz żony o tém uwiadomić, ale ukryć nie potrafił smutku. Biedna Joanna to wnet dostrzegła, i dopóty śledziła aż wszystkiego po nitce nie doszła. Trudno opisać cichą jéj boleść; widząc jednak szczery żal męża, już go nie obarczała wyrzutami, jak wiele innych zrobiłoby żon w podobnym razie; płacząc sama, pocieszała go, że Bóg w miłosierdziu Swojém nieskończoném wybaczy mu ten postępek, jeżeli głęboki i trwały żal po nim serce jego zajmie.

W istocie Wojciech od tego czasu wiele się odmienił, nie wychodził już na wieczorne swoje piwo, wstydząc się po owym dniu nieszczęsnym, był on bowiem jakby pod klątwą, gdyż pan sędzia posiadał powszechne w całéj okolicy poważanie. Pozostawszy parę wieczorów ze swoją rodziną na miłéj gawędce z poczciwą żoną i dziatkami, które ona tak pobożnie wychowywała, na głośném czytaniu gazetki i przeglądaniu szkolnych dzieci zadań, zasmakował nasz kowal serdecznie w tém podzieleniu się z dobrą Joasią domowemi troski i pociechy.

Kilka jeszcze tygodni upłynęło tego spokoju, ale o ile ta dobra niewiasta radowała się nad wewnętrzną męża przemianą, o tyle nie mogła przytłumić zmartwienia, które biédne jéj serce nękało. Słyszała nie raz o szlachetności pana sędziego, pewną była iż gdyby to od niego zależało, mąż jéj uzyskałby przebaczenie; ale prawo było obrażone, ono żądało kary i pomsty, jak mówi Pismo Święte: "krew za krew, głowa za głowę." Prawda, że na szczęście krew nie płynęła, że Bóg w dobroci Swojéj odwrócił okropny cios; ale chęć w wielu razach poczytuje się za uczynek. Takiemi to przeczuciami trapiła się często Joanna w bezsennych nocach, kiedy Wojciech głęboko zasnął po ciężkiéj pracy. "Ach, Ojcze litościwy, mój słaby rozum nie wié rady na to nieszczęście, pod ciężarem którego się uginam, a które przygniecie nas wszystkich; biédne moje niewinne dziatki, cóż się z niemi stanie, jakiéjże one doznają wzgardy w szkole i w świecie, jak nadejdzie okropna ta chwila i wyrok zapadnie, palcem na nich wytykać będą: "'to dzieci kryminalisty, zbrodniarza!'" Czyż one nie stracą szacunku dla ojca, który takie dobre zresztą ma serce? Wszak on mi nigdy przykrego nie dał słowa, zawsze dzieciom troskliwym był rodzicem. O Panie! radź Ty i pomóż w obecném położeniu, daj mi siły i odwagi do zniesienia tego krzyża, daj mi cierpliwości abym biédnemu Wojciechowi w godzinie próby podporą była i pociechą, nie zaś ciężarem!"—Wśród podobnych rozmyślań trawiła Joanna resztę wieczora przy robocie; potém, pomodliwszy się raz jeszcze gorąco, i obejrzawszy troskliwie i czule każde z osobna dziecko, jakby wzmocniona udawała się na spoczynek.

Tak zeszło ze dwa miesiące. Joannę teraz widzimy złożoną chorobą, a maleńka obok jéj łoża kołyska wskazuje, że siódme dzieciątko zawitało pod tę strzechę, obecnie w ciężkiém pogrążoną utrapieniu. Drobniutki synek, czyściutko otulony, ani się domyślał o zmartwieniu rodziców, a jednak pięć zaledwie liczył dni, kiedy ziściło się to czego obawiano się od kilku miesięcy—przybył urzędnik cywilny od sądu powiatowego, w towarzystwie dwóch ludzi ze straży ziemskiéj, i przeczytał Wojciechowi Wierczyńskiemu wyrok skazujący go "na sześć miesięcy ciężkiego więzienia w mieście powiatowém."

Jakkolwiek łagodnie wyrok ten brzmiał w porównaniu do tego, czémby mógł być, gdyby Pan Bóg nie był odwrócił ciosu smiertelnego od zacnego urzędnika, jednak teraz, kiedy poczciwa Joanna sama była słaba i potrzebowała pielęgnowania, serce obojga małżonków ścisnęło się boleśnie. Sam urzędnik mocno się zdawał wzruszony przy czytaniu tego wyroku; zapytał się wprawdzie, jakby z urzędu, czyby nie chcieli się udać do wyższego sądu o zniesienie lub złagodzenie kary. Nastąpiła chwila namysłu, ale Wojciech, spojrzawszy się na Joannę, odrzekł: "Zasłużyć, zasłużyłem na karę i od niéj uchylić się już nie chcę, tém bardziej iż wątpliwe czy ułaskawienie nastąpi, a kto wié czyby potém wyrok nie był zaostrzony; chyba już lepiéj poddać się prawu. Ale, czy mnie tam mają prowadzić? Czy nie mógłbym sam się oddać w ręce sprawiedliwości? Ach, wstyd mi, że biédna moja żona i dzieci cierpieć muszą niewinnie za grzechy moje!"

"Spojrz, czytelniku, w myśli na ten obraz; widzisz kowala, człowieka siły olbrzymiéj, z poczerniałą twarzą, zgiętego nieszczęściem, bijącego się pokornie w piersi, jak ów celnik: "Boże, bądź miłościw mnie grzesznikowi!" Dokoła widzisz liczną dziatwę,—najstarsze z nich, chłopcy dziesięcio i dwunastoletnie, znają całą obszerność ich nieszczęścia; wstyd i boleść malują się na ich twarzach, lecz nie wzgarda dla ojca, bo Joanna prowadziła dzieci swoje w miłości i uszanowaniu ku niemu. Ośmioletnia Magdusia, łagodna i dobra dzieweczka, tuliła się do ojca, całując go smutnie, a najmłodsze płakały, widząc że wszyscy strapieni. Na łóżku zaś leży blada jak marmur Joanna, oko jéj wprawdzie ciche roni łzy, ale usta głoszą słowa pociechy i odwagi dla męża i rodziny.—Czyż męztwo téj kobiety kochającéj nie jest większe od bohatera, który wśród huku dział zimne dyktuje rozkazy? Na takie zaparcie się saméj siebie tylko matka chrześcianka się zdobędzie,—sama najwięcéj bolejąc i cierpiąc, pociesza i uzbraja drugich! Mało jest takich niewiast, bo rzadko która szuka pociechy w religii wśród znojów i kłopotów życia, dla tego téż rzadko która kobieta prawdziwą jest męża podporą i pomocniczką w téj pielgrzymce ziemskiéj, obarczając go przeciwnie częstokroć wyrzutami za każdym przykrym zawodem.

Ale wracajmy do naszéj powieści. Urzędnik cywilny, który wiele już lat strawił na pełnieniu obowiązków swego powołania, wiele już przeczytał wyroków, kilka nawet wyroków śmierci, nie otarłszy się jednak z delikatniejszych serca uczuć, nie mógł powstrzymać wzruszenia. Wyszedł więc z tego domu zmartwienia i na świeżém powietrzu, w owéj świątyni ręką Bożą nie ludzką zbudowanéj, westchnął z rozrzewnieniem: "Boże, bądź miłościw biednym tym ludziom, pomóż im Twéj się poddać woli!"

Postanowił zatém Wojciech Wierczyński, stósownie do wyroku, sam nazajutrz rano stawić się na miejscu kary swojéj. Wieczór zeszedł na rozmaitych do długiéj nieobecności męża i ojca przygotowaniach; wyjął sobie czystą bieliznę i odzież, wszystko było w porządku, gdyż pracowita kowalka obszyła dom cały przed słabością. Kiedy biédny Wojciech po modlitwie wieczornéj z płaczem żegnał dzieci swoje, pocieszała go ona obietnicą, iż co tydzień przysyłać mu będzie starszych synów z żywnością i bielizną, sama zaś co niedziela go odwiedzi z młodszemi dziećmi, skoro jéj Pan Bóg pozwoli odzyskać siły.

"Alež, droga Joasiu," rzekł doń kowal, "jakże ty siebie i dzieci wyżywisz przez całe pół roku? wątpię czybyś sobie dała radę z naszym czeladnikiem, bo to taki wiercipięta, on nie dosiedzi jak mnie nie będzie."

"To pewno, Wojtusiu, on nawet za młody, żebym go trzymała podczas twojej nieobecności; może mi Pan Bóg nastręczy jakiego starego czeladnika, coby mi w domu był także pomocą i parobka polną kierował robotą, a jeżeli nie, to się Jaśkiem obejdę. Nie trap się, przecież mamy jeszcze zboża i kartofli dosyć na sadzenie i dla nas, jest okrasa w domu, są krówki, które się wkrótce pocielą, to będą i pieniądze dla ciebie czasem na tytuń, a jeżeli Bóg da, to i ten okropny czas dla nas przeminie. Przyrzeknij mi tylko, że się nie będziesz zadawać z ludźmi, którzy podobny los z tobą dzielą, chyba jeżeli możesz i potrafisz to dla ich poprawy; teraz dużo masz czasu, użyj go zatém na twoją przemianę,—pamiętaj o Bogu, On będzie o tobie! Weź także drogą moją Biblią i dziękuj Panu, że czytać w niéj możesz. Wielkieby to było dobrodziejstwo, Wojtusiu, żebyś mógł pracować w czasie twojéj kary, ale nie wiem czy pozwolą na to; nie chcę bynajmniéj, żebyś co zarabiał, lecz praca by cię rozerwała,—i nie smuć się o nas, bo my pod opieką Boską. Jak się podniosę, poproszę parę świadków i chrzestną matkę i zaniosę synka do chrztu świętego, a dam mu na imię Teodor, bo to dar Boży na naszą pociechę w tém utrapieniu."

Dobroczynny sen nie zwiedził powiek obojga małżonków; długa to była noć i czarna, a jednak zdawała się krótką, bo każda chwila zbliżała okropne rozstanie. Zadniało nareszcie. Wojciech, ubrawszy się i obudziwszy starsze dzieci, kazał im prędko się odziać i usiąść spokojnie przy stole; sam zaś po raz pierwszy z własnego natchnienia otworzył Biblią i oko jego padło na XCI psalm, który przeczytał na głos wyraźnie i powoli—ach! jakże każdy wiersz znalazł odbicie w jego sercu... Odniósł on z tego czytania wielkie i trwałe błogosławieństwo, polecił Bogu dom swój ukochany, żonę, dzieci, sługi i sąsiadów, którzyby o niego dbali—prosił Go o przebaczenie wielkiej swojéj winy, i powstał pocieszony, wzmocniony modlitwą. Razem z dziećmi zjadł trochę śniadania zgotowanego przez poczciwą Janową, o któréj sobie czytelnik może z początku powieści przypomni; syn jéj spoczął w grobie, ona zaś smutną znajdowała pociechę w pomaganiu téj dobroczynnéj kobiecie, która słodziła ostatnie dni jego krótkiéj pielgrzymki. Przyszło kilkunastu sąsiadów pożegnać biédnego Wojciecha, wszyscy mieli dlań łzę lub westchnienie współudziału, kilku z nich ofiarowało go odprowadzić i ponieść mu zawiniątko, ale kowal nie przyjął tego, podziękował serdecznie i pożegnał, chcąc być sam ze swoją rodziną w ostatniéj chwili. Wtém Józiek, najstarszy chłopiec, przybiega, że widział sztafetę pędzącą do dworu w okropnym pośpiechu, i że pocztylion zapytał się przed kuźnią czy kowal jeszcze w domu? "Co nas to może obchodzić Józiu; nie oglądaj się za nim, wszak twój ojciec odchodzi do więzienia!" Zawiniątko nareszcie złożone i rozstać się trzeba.

"Bywaj mi zdrowa, droga Joasiu, wybacz żem tyle nieszczęść zładował na biedną twoją głowę i módl się za mnie często," z temi słowy wziął ją w swoje objęcia i żegnał ze łzami; biédna Joanna długo nie mogła wydobyć głosu, lecz nareszcie odpowiedziała dwudziestym trzecim psalmem, który odmówiła głośno i wyraźnie z pamięci, zapewniając go zarazem, że się nie gniewa, że szczerze i gorąco zań modlić się będzie, i że z Bożą pomocą oboje doznają pociechy niebieskiéj i spokoju. Teraz daje się słyszeć pukanie—Wojciech, myśląc że to straż ziemska po niego, i nie chcąc czekać ich nawiedzin w chacie, bierze zawiniątko na plecy i uściskawszy drobne, śpiące jeszcze dzieci, otwiera drzwi do wyjścia, ale kogoż to spotyka na progu? Oto pana dziedzica, sołtysa, kilka sług ze straży ziemskiéj i owego pocztyliona, który dopiero co jechał z sztafetą. "Dzień dobry, biédny Wojciechu, dzień dobry, poczciwa kobieto! Śpieszysz się widać na miejsce kary twojéj? ale poczekaj no trochę i posłuchaj. Pan sędzia mocno był zmartwiony wyrokiem zapadłym za twoje przestępstwo, pojechał sam do stolicy, prosił za tobą i uzyskał ŁASKĘ I PRZEBACZENIE!"

Łaskę i przebaczenie zyskałeś Wojciechu Wierczyński za wstawieniem się pana sędziego, za tobą łaskę i przebaczenie zyskamy wszyscy za nasze winy, udając się do Pana Jezusa, jedynego Stwórcy naszego syna, który wziął na siebie grzechy nasze i poniósł za nie śmierć na krzyżu! Kto w Niego uwierzy, nie zginie choćby umarł. Posłuchaj mnie, Wojciechu, posłuchajcie wszyscy, coście się tu zebrali już to z ciekawości lub współudziału (w około chaty bowiem i w sieni pełno było ludzi), łaskę i przebaczenie zwiastuję temu człowiekowi, który zapomniał się ciężko, ale wszedł w siebie i głęboko żałował,—łaskę i przebaczenie zwiastuję wam wszystkim, którzy chcecie się napić wody tego zdroju żywota wiecznego. W imieniu Boga, Wszechmocnego, Króla królów, proszę was, bracia, przyjmijcie tę radosną nowinę o łasce i przebaczeniu, i pokochajcie całém sercem tego Pana dobrotliwego, którym jest Chrystus Jezus, miłościwy nasz Zbawiciel!

Odjechał wkrótce pan dziedzic wśród gorących

wynurzań wdzięczności ku sobie, jako zwiastunowi szczęscia, ku panu sędziemu, który choć sam obrażony, nie szczędził kroków, ni starań na wyswobodzenie kowala, lecz przedewszystkiém ku Bogu, Wojciech od téj chwili ofiarował Panu nad pany całe życie swoje, prosząc pokornie, żeby już nigdy w dawne nie popadł błędy i winy.

Opuszczamy teraz, kochany czytelniku, tych ludzi, ale radzibyśmy jednak wiedzieć, czy owo pamiętne zdarzenie wywarło jaki wpływ na żywot naszego Wojciecha lub czy téż minęło jak przykry sen, którego sobie przypominać nie lubimy.

W pięć lat późnićj ten sam pan dziedzic, który wstąpił do téj chaty z radosną łaski nowiną, wyprawiał swoje srebrne wesele i wiele przyjmował gości; zjechało się dosyć sąsiadów z bliska i z dala, żeby niemłodéj parze złożyć swoje powinszowania, przybył i pan sędzia Mar....ski, wdzięcznie i mile witany. Obywatele radzili między sobą przy obiedzie o dobrobycie swoich ludzi, chwaląc pracowitych i trzeźwych, ganiąc zaś drugich oddanych trunkowi i niedbałych o własne dobro.

"Co téż porabia ów kowal zawadyak, co się to z wszystkimi kłócił i swarzył, a co więcéj sekundował we wszystkich procesach—wszak już nie ma wzmianki o nim w żadnéj sprawie?"

"O, panie sędzio," odrzekł dziedzic, "to dziś inny człowiek, nie tylko najporządniejszy z całych moich włości, ale na całą okolicę nie znajdziesz pan sędzia równie spokojnego i rozsądnego. Nie żałuj pan sędzia starań, które poniosłeś dla jego ocalenia, bo to rzadki przykład dla drugich w tym stanie! Bóg mu téż widocznie błogosławi, bo dobytek mu się powiększa, choć ubogich co może wspiera. Co pan na to powié, że kiedy na szpital w powiatowém mieście kazano nam zbierać składki, przyszedł tenże kowal Wierczyński, ofiarując zrobić bezpłatnie wszelką robotę ślusarską i kowalską, zastrzegając sobie tylko materyał, to jest żelazo—ale co więcéj, zapowiedział mi tę ofiarę w pięcioletnią rocznicę owego ułaskawienia i powtórną wynurzył zań wdzięczność swoją."

"Jakże mnie to cieszy, radbym go widzieć!"

"I owszem panie sędzio, po obiedzie każę go tu przywołać."

"Nie tak, łaskawy sąsiedzie, to wcale rzecz inna; radbym go widzieć w kuźni, przy zatrudnieniu, wraz z całą rodziną, boć żona jego biedaczka, bledziutka i skromna kobiecina, była u mnie, z niemowlęciem na ręku, z podziękowaniem za moje starania, wszyscyśmy byli mocno wzruszeni jéj wdzięcznością. Chcieli nas biédne ludziska wówczas obdarzyć małemi upominkami, których jednak nie przyjęliśmy, i to im bardzo było przykro."

"Co do mnie to nie byłem taki dumny," odrzekł pan domu, "dziś rano pierwszy przyszedł kowal ze swoją żoną powinszować nam obecnéj uroczystości; świątecznie byli ubrani i ofiarowali nam tacę na owoce w kształcie koszyka z kwiatami, misternéj i własnéj roboty. Zręczny to bowiem majster jak rzadko, raz do roku zwiedza w Warszawie fabrykę panów Ewansów, zkąd sobie przynosi rysunki w głowie, i takie misterne czasem wyrabia roboty, jak mówi, żeby się zabawić. Chętnie dar jego przyjęliśmy, co ich mocno uradowało. Jeżeli więc pan sędzia sobie życzy, to po obiedzie zajdziemy do kuźni z cygarkiem."

Zastali naszego Wojciecha rączo bijącego żelazo, ze swobodą na obliczu, rozmawiającego z czeladnikiem o ważności niedzieli i dla zwierząt, którym Pan Bóg także kazał użyczyć odpoczynku.

"No, Wierczyński," odezwał się dziedzic, "tyś mnie dziś rano odwiedził, a ja na wzajem do ciebie przychodzę, ale chyba nie poznasz gościa, którego ci prowadzę?"—Kowal natychmiast zdjął czapkę, i spojrzawszy się na pana sędziego, schylił mu się do nóg z uszanowaniem: "Jabym Jaśnie Pana nie poznał? ale czyż ja godzien tyle łaski i zaszczytu, żeby mnie Jaśnie Wielmożny Pan odwiedził?" Miło było patrzeć na tę twarz, gdzie się pokora i radość malowały kolejno.

"Nie mówcie mi nic o łasce, Wierczyński—cieszę się iż mogę wam powinszować przemiany, którą Pan Bóg w was sprawił!"

"Tak, Jaśnie Panie, już ja nie ów kłótliwy Wojciech, co różnił ludzi; Pan Bóg przeprowadził mnie przez gorący ogień pokuty, teraz jestem pokornym człowiekiem, a jeżeli kiedy podnoszę głos podczas jakich swarów, ta chyba żeby nakłonić do zgody. Ależ tu przeciąg i gorąco zarazem, może Jaśni Panowie raczą zwiedzić ubogą moją strzechę?"

"I owszém," rzekł sędzia z dziedzicem; znaleźli żonę kowala i najstarszą córkę, Magdusię, przy robocie—jakaż radość zabłysła na ich twarzach, skoro matka poznała dostojnego gościa! W domku czysto było i ładnie, wszystko świadczyło o dostatku i zgodzie w téj rodzinie; drobne dziatki, zdrowe i wesołe, ochędożnie były ubrane.

"Widzę, że wam się powodzi," rzekł pan sędzia, "i mocno mnie cieszy, żeście szukali szczęścia i spokoju, gdzie jedynie znaleźć je można," dodał, wskazując na pięknie oprawną Biblią, leżącą na małym stoliku. "Słyszałem od waszego pana dziedzica, żeście dokładnie zrozumieli "ŁASKĘ I PRZEBACZENIE" ofiarowane wam przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, któremu dzięki i chwała niech będzie po wszystkie wieki wieków!" "Amen," dodali wszyscy, nawet mały Teodorek, najmłodsze téj rodziny dziecię.

Kochany czytelniku, lub czytelniczko! Czyście nigdy w życiu podobnych do tego kowala nie przechodzili kolei? Możeście nie obrazili osoby zajmującéj znakomite w świecie stanowisko, ale czyście nigdy w myśli lub sercu nie ubliżyli najwyższemu naszemu Monarsze, Królowi królów i Panu nad pany? Czy robak niespokojnego sumienia nie trapił serca waszego, czy w téj lub owéj smutnéj okoliczności, przy chorobie lub stracie drogiéj osoby, lub przy materyalnych troskach, nie dał wam się słyszeć głos wewnętrzny: "oto kara za moje szemranie przeciwko Bogu, za moją niewdzięczność i niepamięć w chwilach pomyślności!" Uspokój się, bracie drogi lub siostro, Bóg ci zwiastuje ŁASKĘ i PRZEBACZENIE przez swoje Pismo Święte; możesz zostać mile witanym gościem u stołu Jego; przyjmij więc to zaproszenie, miłuj Go i ufaj Mu z całego serca; On cię odszuka, jak ową straconą owieczkę, przytuli do serca Swego, a hymny radosne zabrzmią w niebiesiech z powodu powrotu "do domu Ojca swego syna, lub córki straconéj!"

LITOŚĆ.

Mała Jadwinia, idąc w niedzielę z matką swoją na przechadzkę, spotyka szereg uczennic z instytutu głuchoniemych, które z ochmistrzynią zmierzały do ogrodu botanicznego. Jednostajna odzież tych dziewczynek i znaki, które sobie pokazywały, zwróciły na siebie jéj uwagę. Na jéj pytanie matka tłómaczy: że Bóg tym nieszczęśliwym dzieciom odmówił jednego zmysłu, i z tego powodu ani słyszą, ani mówią, przeto trudno im się porozumieć. Za staraniem wielu dobroczynnych osób, utworzony został instytut, gdzie takie nieszczęśliwe dzieci kształcić się mogą, że są właściwi do tego nauczyciele i nauczycielki, którzy oprócz opieki rodzicielskiéj nad niemi, uczą ich za pomocą znaków: religii, czytać, pisać, rachunków, tudzież wiele nauk użytecznych, lub téż rzemiosł stósownie do stanu, w którym się urodziły.

"Droga mamo!" rzekła Jadwinia, "jakże mi ich serdecznie żal, czy nie mogłabym im coś dać?"

"One na dziś nic od ciebie nie potrzebują, dzięki zacnym dobrodziejom i opiekunom, niczego im nie braknie, zresztą tam nie same ubogie dzieci są, Bóg tém kalectwem nie raz i zamożnych ludzi dziecko nawiedza. My nie bogaci, twój ojciec tylko biédny rzemieślnik, w pocie czoła pracuje na chléb, ale wiesz co Jadwiniu, kiedy tak pragniesz coś ofiarować, to ci poradzę jakim sposobem. Co rok parę z najstarszych dziewczynek opuszcza ten zakład, po skończeniu nauk. Majętne wracają do swoich rodziców lub krewnych, a ubogie udają się do służby, bo się nauczyły prać, prasować, szyć itd. Te ostatnie potrzebują oporządzenia, trudno żeby instytut robił na to nakłady. Wiele pań uczy swoje córeczki zbierać powoli grosiki, a przy końcu roku składa się to na ręce pani ochmistrzyni, która stósownie do potrzeb sprawia i rozdaje. Tobie Jadwiniu daje ojciec co tydzień dziesiątkę na ciastka, jak mu przynosisz dobrą cenzurkę ze szkoły, mogłabyś to odkładać, z czasem zbierze się kilkanaście złotych, które zaniesiesz do jednego z panów opiekunów tego zakładu." Podziękowała Jadwinia z radością za tę radę, kupiła sobie zaraz glinianą skarbonkę i odtąd więcéj jeszcze do nauki nabrawszy chęci, co sobota pokazawszy ojcu cenzurkę, wsuwała do puszki swoją dziesiątkę, licząc nieledwie tygodnie, kiedy swoją ofiarę będzie mogła odnieść do instytutu.

Lecz inaczéj się stało. Zaledwo upłynęła siedemnasta sobota, kiedy Jadwinia ciężko zachorowała, i pomimo starań lekarza i rodziców, nie można było jéj ocalić. Bóg sobie upodobał ten miły kwiatek, wcześnie go przesadził do swego ogrodu, gdzieby go burze ziemskie nie zgięły ani złamały. W kilka dni po śmierci kochanéj córeczki, strapiony ojciec zaniósł tę puszkę do pana B...., wówczas z ojcowską troskliwością opiekującego się tym zakładem. Powiedział o zamiarach swego dziecka, a gdy zacny ten mąż przeliczył pieniądze, oprócz siedemnastu dziesiątek, znalazł jednę dwuzłotówkę. Zdziwiony rzemieślnik powróciwszy do domu, zapytuje matki jak się dwuzłotówka do puszki dostała?

"Ach prawda," rzekła, "wszak to ostatniego wieczora odwiedziła Jadwinią chrzestna matka, i widząc że taka zgorączkowana, żałowała że jéj nie przyniosła czego na pokrzepienie, żegnając się dała dziecku dwuzłotówkę na pomarańcze, oboje nie lubimy tych pieniężnych datków, ale znękana troską, nie chciałam się staruszeczce sprzeciwić. Dziwiło mnie, że się dziecko tak uradowało; w parę godzin woła na mnie: "Mamuniu! podaj mi moją skarbonkę, ja nie chcę pomarańcz, niech to będzie dla owych biédnych panienek."

To były ostatnie słowa Jadwisi!

Litość ku biednym, wdzięczność sieroty
Jakiegoż serca nie wzruszą?
Zaiste! wszystkie są piękne cnoty,
Lecz litość wszystkich cnot duszą.



DOM BEZ DACHU.

Jakież to dziwne mieszkanie, dom bez dachu! Nie chciałbym mieszkać w takim domu, i chyba sama nędza, prawdziwa nędza zmusiłaby rozumnego człowieka do szukania przytułku w takiém schronieniu! Dom bez dachu, tylko puste ściany, bez pokrycia, pod gołém niebem, stanowiłby przytułek zaledwo znośny w lecie, ale w żadnym razie w zimie. Dom bez dachu nie daje ani wygód, ani bezpieczeństwa, mieszkańcy byliby wystawieni na odwiedziny natrętnych gości nieproszonych, na dolegliwe zmiany powietrza, jak zimno i gorąco, deszcz i śnieg, wiatr i błyskawice. I ty kochany czytelniku, nie radbyś pewno zamieszkać w takim domu? Gdyby zaś zbiegiem przykrych okoliczności ktoś z naszych znajomych musiał się kontentować podobném mieszkaniem, czy nie wartoby litować się nad nim i podać mu dłoń bratnią ku wycofaniu go z takiego położenia? Jednak rzecz dziwna! iż między nami są sta i tysiące ludzi, mieszkających w domach bez dachów, i to częstokroć całemi rodzinami, mężowie, ich żony, dzieci i sługi mieszkają jakby z własnéj chęci w domach bez dachów! Ale co jeszcze dziwniejsza, że mogliby zamienić swoje mieszkanie na lepsze, szczelniéj zamknięte, jednak z niezłomnym uporem przekładają takie domy! Czytelnik zapewne przerwie uwagą, iż w życiu nie widział nikogo zajmującego dom bez dachu, nie prawdaż? Postaram się udowodnić to com powiedział, odwołując się do zdania światłego męża, który utrzymuje, iż mieszkanie, w którém się nie oddaje codziennie w modlitwie chwały Najwyższemu, to nic innego jak dom bez dachu, gdzie niebezpiecznie pozostać choćby jednę noc!

Ach, opłakany jest stan rodziny, żyjącéj bez modlitwy!

Że dużo jest podobnych familij, nie ulega sprzeczce. Znajdują się one między bogatymi i ubogimi, między niby wyznawcami religii chrześciańskiéj i między takimi, co sobie z niéj nic nie robią, między ludźmi często wyższe w towarzystwie zajmującymi stanowisko, i nareszcie między najniższymi, spodlonymi grzechem i występkiem

Bóg jest ucieczką i siłą naszą, ratunkiem
we wszelkim ucisku najpewniejszym.
Psalm XLVI.

Ludzie jedzą, piją, kładą się spać, wstają, udają się do swego zatrudnienia, powracają do swych domów, oddychają Boskiém powietrzem, Boskie słońce ich ogrzewa, korzystają z Boskich łask, mają ciało i członki ulegające śmierci, oczekuje ich sąd ostateczny i wieczność! ale głosu modlitwy w ich mieszkaniu nie usłyszysz; żyją jak zwierzęta, które giną bez przyszłości, postępują jak stworzenia bez duszy, nigdy się do Boga nie odzywając! Nie wiedzą oni nic o społeczeństwie z Nim, w Którego ręce jest ich życie mienie i wszystko, a z Którego ust usłyszą kiedyś swój wyrok ostateczny! Ach, gdyby tajemnice wszystkich rodzin były odchylone, wieleby to mieszkań znalazło się bez dachu! Takie rodziny są godne politowania i troskliwości pobożnych ludzi; jednak niechętnie się z niemi podziela grożące im niebezpieczeństwo, na dowód czego podam następujący fakt:

Pewien nauczyciel domowy przyjął obowiązek u bogatego pana, znanego z wielu cnót obywatelskich, ale po krótkim czasie opuszcza jego dom i udaje się do biura stręczeń nauczycieli z prośbą o inne miejsce. Gdy utrzymujący to biuro usłyszał, gdzie był poprzednio, mocno zdziwiony jego krótkim pobytem, rzekł: "I takie miejsce pan porzucasz, każdy sobie za honor poczytuje być w takim domu, cóż się tam panu nie podobało? Co do stołu i wygód to już kwestyi nie ulega, ale może praca za ciężka, bo kilku synów do nauki i dozoru?"

"O bynajmniéj, nie byłem obarczony pracą."

"Czy za małą pensyą panu ofiarowano?"

"Nie mógłbym się spodziewać większéj."

"Dla czegóż pan rzucił to miejsce?"

"Nie chciałem żyć w domu bez dachu!"

"Co pan prawisz? tam mieszkanie jest pałacowe, u tego pana najniżsi parobcy nie mają siedziby niepokrytéj choćby słomianym dachem."

"Muszę się panu wyraźniéj wytłómaczyć; mieszkaniem bez dachu zowię rodzinę, która żyje bez modlitwy."

Smutna niestety prawda! w całéj rodzinie tego obywatela nie było ani jednego pobożnego członka.

Zacząć i zakończyć dzień bez oddania czci właściwéj Bogu, rozpocząć zatrudnienie, przedsiębrać podróż, zawrzeć śluby małżeńskie, obrać nowe mieszkanie, wchodzić w stósunki przyjacielskie bez modlitwy, to smutne skazówki zobojętnienia ku Bogu, naszemu Stwórcy.

Pewien sławny pisarz powiedział: "Dusza bez modlitwy jest duszą bez Boga, bez łaski, bez Chrystusa, jedném słowem jest duszą straconą w życiu i w śmierci."

Człowiek bezżenny niemodlący się jest do pożałowania, ale o ile to straszniejsze, jeżeli to ojciec familii, odpowiedzialny przed Bogiem i ludźmi za ścisłe wykonywanie obowiązków religijnych. Czy Pan Bóg nie objawił się Bogiem wszystkich rodzin ziemskich? Jest On ich Stwórcą i Opiekunem, od Niego się spodziewamy pomocy i błogosławieństwa, dla tego ma On prawo do naszéj czci i wdzięczności.

Za czasów patryarchalnych, każdy ojciec rodziny był zarazem kapłanem w swoim domu. Dla czegóż nam się dziś wyłamywać z tego obowiązku? czemuż nie prosić Boga o uświęcenie naszych trudów i znojów, o zaopatrzenie naszych potrzeb, o powiedzenie się naszych zamiarów? Zaprawdę nie przepuści Bóg bezkarnie takiego zapomnienia o Nim.

Czytelniku, czy jest dach nad twoim domem?

"I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas
"zbaw ode złego." (Ś. Mat. vi, 13.)

Widząc raz młodzieńca uciekającego od drzwi szynku, kiedy trzech innych urągając się, krzyczało na niego, jam tak sobie w duszy przemyśliwał: ten człowiek zapewne pił wódkę, a nie mając czém zapłacić zemknął.

Idąc jednak w tęż samą stronę, nadybałem go po drodze i zapytałem się o przyczynę umykania tak śpiesznego od domu szynkowego. On mi na to odpowiedział: "Nie dawnoć temu, byłem obrzydliwym pijanicą, moja żona i dzieci okryte łachmanami, a kiedym był przytém skazany do więzienia za długi, pewien dobry człowiek zlitował się nade mną, ofiarował wybawić od więzienia, jeźli mu dam przyrzeczenie, że dopóki żyję, pić wódki nie będę. Przystałem z chęcią na to i dotąd nie zerwałem mojéj obietnicy; dziś będąc znużony długiém chodzeniem, wstąpiłem do szynku, prosząc o wodę na ugaszenie pragnienia, gdym ją pił, jeden z moich dawnych towarzyszy częstował kieliszkiem wódki, a że szynkarz mi ją nalewał—nie dowierzając sobie i znając mą słabość w tym względzie, co miałem tchu uciekłem, bo gdybym się był dłużéj zatrzymał w tém miejscu pokusy mocniejszéj ode mnie, byłbym zerwał moje przyrzeczenie.

Prawdę mówi ten człowiek, rzekłem do siebie, muszę to do siebie zastósować, naśladując go, uciekać od wszelakiéj pokusy, zkądkolwiek ona przychodzi, bo napisane jest: "Błogosławiony mąż, który nie chodzi w radzie niepobożnych, a na drodze grzesznych nie stoi, i na stolicy naśmiewców nie siedzi."—"Synu mój! jéźliby cię namawiali grzesznicy, nie przyzwalaj." (Psalm i, 1; Przypow. 10.)

K. W.



O PSZCZOŁACH.

Oto rzemieślnik, który po całodziennéj przy warsztacie pracy powrócił do domu, a posiliwszy się skromną wieczerzą, w małym ogródku swoim, wśród miłego zajęcia szuka rozrywki. Z motyką w ręku i polewaczką tuż przy nim, doszedł do pasieki; towarzyszy mu najstarszy synek, którego piękne, duże oczy obiecują otwartą główkę. Pszczoły wzbudziły ciekawość chłopczyka, chciwie słucha każdego słowa ojca, jak one nie tylko na siebie pracują ale chętnie dostarczają miodu swoim panom. Miły ten obrazek przedstawia w głębi, we drzwiach stojącą żonę rzemieślnika, z drobniutkiém dzieckiem na ręku. Z jakąż tą dumą macierzyńską i radością przypatruje się swemu pierworodnemu! Malec kolejno spogląda to na ojca, to na pracowite mieszkanki tych ulów. Zamiłowany ten bartnik już niejeden rok strawił na ich chodowaniu, zrobił niejedno ważne o nich postrzeżenie, z wdzięcznością spogląda na dobre pszczółki, które mu pomogły osłodzić chléb dla swoich dzieci, dostarczyły smacznych pierników na Boże Narodzenie, a nadto sprzedaż wosku i miodu wystarczyła na zapłacenie komornego.

Ludzie myślą, że pszczoły są złośliwe i niebezpieczne. Bóg im dał żądło ku obronie własności swojéj i ich panów; czyż my zamykając nasze mieszkania, nie zabezpieczamy się od najść szkodliwych? Pszczoły potrafią obronić się i ukarać natrętnego przybysza, ale nikogo nie zaczepiają, znają doskonale tych, co mają o nich staranie, witają ich i pokornie pozwalają wybrać swoje zapasy. Łaskawe z niemi obchodzenie oswaja ich do tego stopnia, iż gotowe chodzić po ręku, nie myśląc o użyciu żądeł. Pewien stary wojskowy zajmujący się pszczelnictwem podzielił je na pułki, bataliony i kompanie, któremi kierował jak wojskiem, na jego głos stawały w szeregi, a gdy zakomenderował na odwrót, parami odchodziły do swych pniów. Nie jest że to nauka wdzięczności i posłuszeństwa dla wielu z nas? Kto z czytelników miał sposobność zajrzeć do zamieszkanega ula, z trudnością oprze się podziwu nad tą zręczną i przemyślną architekturą. Pszczoły się brzydzą brudem i nieporządkiem, wyprzątają śmiecie i kurz za pomocą skrzydełek, któremi trzepią jak wachlarzami. Zajmujący to widok jak cała gromada od razu staje i wytrzepuje najprzód jednę kondygnacyą, potém drugą itd. Żeby to nasze kobiety w Polsce chciały je naśladować, gbyby w swoich domkach i chatkach więcéj sprzątały, trzepały i wietrzyły, może tyfus co wiosna nie zagarniałby tyle ofiar, cholera byłaby mniéj groźną, a gdyby biédne dzieci czyściéj trzymano, skrofuły nie przybierałyby tak szkodliwéj natury. I dla was, kochani czytelnicy ojcowie, pszczółki podają nauczkę. Są to wesołe stworzenka praca im nie ciąży, nie troszczą się o jutro, bo każdy dzień przynosi swoje właściwe obowiązki, wiedzą że nadejdzie zima i przeto zbierają na nią zapasy. Rzemieślnik, co cały swój zarobek wydaje na życie, a może zadłuża się jeszcze u sąsiada, nierozsądnie postępuje; powinien oglądać się na dnie, w których może złożony chorobą, albo zbiegiem okoliczności, zabraknie mu zarobku; wówczas zgryzoty sumienia z niedobrego użytku swych pieniędzy uczynią brak i niedostatek tém sroższym. Nareszcie pszczoła brzęczy przy robocie, to jéj śpiew. I ty pracowity człowieku, skracaj sobie i słodź pracę śpiewem, na chwałę Boga, który pszczołę nawet upoważnił do dobrego dla nas przykładu.

SYN MARNOTRAWNY

(Ś. Łukasz, XV, 18—40.)

"Wstawszy tedy, pójdę do ojca mego i rzekę mu: Ojcze! zgrzeszyłem przeciwko niebu i przed tobą.

I nie godzienem więcéj być nazywany synem twoim, uczyń mię jako jednego z najemników twoich.

Tedy wstawszy, szedł do ojca swego. A gdy on jeszcze był opodal, ujrzał go ojciec jego, i użaliwszy się go, przybieżał, a padłszy na szyję jego, pocałował go.

I rzekł mu syn: Ojcze! zgrzeszyłem przeciwko niebu i przed tobą, i jużem nie jest godzien, abym był nazywany synem twoim.

Rzekł tedy ojciec do sług swoich: Przynieście onę przednią szatę, a obleczcie go, i dajcie pierścień na rękę jego, i obuwie na nogi jego.

A przywiodłszy ono tłuste cielę, zabijcie, a jedząc bądźmy weseli.

Albowiem ten syn mój umarł był, a zasię odżył; zginął był, i znaleziony jest; i poczęli się weselić.